ROK I. NR 1
DNIA 18 GRUDNIA 1938

TYGODNIK

CENA 40 GROSZY



NARADZA SIĘ BOHATERÓW GROMADA, CO W GAZETCE DAĆ WYPADA

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

PĘDZIWIATR

Cudowne prześcieradło

Gdy zginęło to prześcieradło ze strychu, wszyscy byli pewni, że wziął je kominiarz. Nikt inny, tylko on. Służąca gotowa była przysiąc, że na własne oczy widziała, jak kominiarz niósł coś zwiniętego pod pachą. A to nie mogło być nic innego, tylko prześcieradło! Ale szukano jeszcze po całym domu, na strychu i gdzie się tylko dało. Bo też to było cudowne, nowiusieńkie prześcieradło! Pierwszy raz prane! I z czystego lnu! Ciotka lamentowała bardzo, mówiąc, że takiego prześcieradła na pewno już nie dostanie. Wolałaby, żeby zginęło nie wiem co, tylko nie to prześcieradło.

— Kara boska z tymi kominiarzami! Upilnować niczego nie można! — mówiła.

Tymczasem naprawdę prześcieradło wziął nie kominiarz lecz Staszek. Tak, Staszek! Potrzebował bardzo mocnego płótna do nowego latawca. Właściwie nie był to latawiec, ale jakby mały szybowiec. Robił go Staszek w ukryciu, w starej szopie, do której nikt nie …dał. Tyle razy już ciotka łamała mu i w… …ała do pieca latawce i modele aeroplanów, teraz więc musiał być ostrożny. Tym bardziej, że nowy latawiec zrobiony był nie ze zwyczajnych patyków, lecz z bambusowych kijków, powiązanych drutem. Bardzo, bardzo mocny: bambusy, drut, prześcieradło z prawdziwego lnu i podwójna, szara nić.

Tego dnia, gdy Staszek postanowił spróbować po raz pierwszy swego latawca, nie było prawie wcale wiatru, ale Staszek nie chciał już czekać. Zaraz raniutko, skoro tylko ciotka o siódmej poszła do kościoła, wziął swą siostrzyczkę, Zosię, i razem z nią wyniósł latawca na sam szczyt Góry Zamkowej. Myślał nawet, że w ogóle nie poleci, tak było spokojnie w powietrzu i cicho. Co najwyżej latawiec podniesie się trochę i opadnie zaraz na łące.

Gdy rękami uczepił się drążka, umieszczonego na poprzek pod skrzydłami szybowca, Zosia prosiła, żeby nie leciał daleko, ale Staszek śmiał się tylko. Tymczasem, zaledwie zaczął zbiegać ze wzgórza, poderwał go gwałtowny wiatr i uniósł wysoko. Stało się to tak nagle i niespodzianie, że Staszek, przestraszony bardzo, chciał puścić się i zeskoczyć, póki był jeszcze czas. Zanim jednak zdecydował się, nowy poryw wiatru podniósł go jeszcze wyżej. Było już za późno.

Zosia krzyczała rozpaczliwie »Stasiu! Stasiu!...« ...ale Staszek już nie słyszał jej głosu. Ona sama, w niebieskim płaszczyku, w czerwonej chusteczce, wyglądała jak mała jagódka na szczycie zielonego pagórka. Zginęła wkrótce z oczu a wiatr pędził coraz prędzej. Drzewa, tam w dole, pod stopami, były małe, jak krzaczki poziomek, domy jak pudełka zapałek, konie i krowy jak mrówki. Potem, przelatując nad samym miasteczkiem, latawiec zniżył się trochę i wtedy Staszek zobaczył ciotkę, która szła środkiem rynku. Poznała go także i pogroziła parasolem, krzycząc:

— Zejdź w tej chwili! Nieznośny smarkaczu! Jeszcze szybę gotów jesteś wybić w jakimś domu i będę musiała płacić za ciebie! A to pędziwiatr dopiero! Zejdź mi natychmiast! I uważaj na wieżę, żebym potem nie miała jakichś kłopotów z kościelnym! Staszek! Staszek!... I żebyś kataru nie dostał przypadkiem! Uważaj...

Chciał coś odpowiedzieć, ale wiatr szybko poniósł go dalej, nie musnąwszy nawet latawcem o dzwonnicę kościoła. Staszek pomyślał sobie tylko, że pewnie za karę nie dostanie dzisiaj śniadania. No, to jeszcze głupstwo, byle tylko nie skrupiło się przypadkiem i na Zosi. Bo ciotka była czasami bardzo niedobra.

Zaraz za kościołem przelecieć musiał ponad szkołą. Byle tylko nauczyciel nie zobaczył! To byłoby najgorsze ze wszystkiego! A tymczasem wiatr, jak na złość, niósł prościuteńko w stronę szkoły. Przez otwarte okno Staszek zobaczył wielką, czarną tablicę. Nauczyciel, trzymając w ręce katalog, czytał nazwiska uczniów wedle alfabetu. Doszedł do nazwiska Staszka i wtedy kilku uczniów odpowiedziało z ławek »Nieobecny«. A właśnie w tej samej chwili skrzydło latawca musiało zawadzić o okno! Ciotka dobrze wyprorokowała! Spełniły się jej słowa! Z okropnym brzękiem posypały się wybite szyby, nauczyciel zaś i cała klasa ruszyła z miejsc, aby zobaczyć, co się stało. Staszek był daleko wprawdzie, ale usłyszał jeszcze głos nauczyciela:



— Poczekaj! Powiem ciotce! Masz nieusprawiedliwione godziny! A jak tylko przyjdziesz do szkoły...

Dalsze słowa zginęły w szumie. Bo też zerwał się wicher jeszcze bardziej gwałtowny, niosąc w chmury Staszka i jego latawiec. Zresztą ciotka i bez nauczyciela wie o wszystkim! Stało się i koniec!... Wkrótce jednak Staszek zapomniał o ciotce, o jej parasolu, o śniadaniu, o wybitych szybach. Skoro tylko minął miasteczko, wszystko raptem zginęło: ciotka, szkoła, ratusz, dzwonnica, wszystko, wszystko. A wiatr pędził i pędził, aż furczały skrzydła latawca z cudownego prześcieradła zrobione. Czysty len!... (d. c. n.)



Kochane Dzieci!

To ja — myszka Miki piszę do Was ten pierwszy list. Mam do Was bardzo pilną sprawę. Widzicie moje piękne portrety prawie na każdej stronie naszej gazetki. Rysują je ludzie dorośli, a to wcale niesprawiedliwie, bo przecież i Wy potraficie ślicznie rysować. Przyślijcie więc dużo, dużo rysunków, bo ten kącik w naszej gazetce przeznaczyłem dla Was.

Rysujcie mnie i wszystkich moich i Waszych przyjaciół i to wszystko, co Wam się tylko spodoba.

Pozdrawiam Was i kręcę się własnym mysim ogonkiem

Miki

PRENUMERUJCIE »GAZETKĘ MIKI«





PORANEK KACZORKA ZADZIORKA



4. godz. rano Budzik obudził za wcześnie



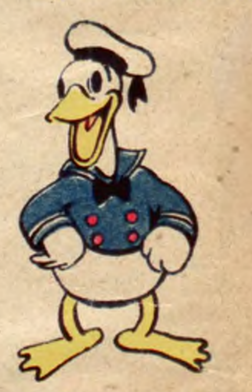
5. godz. — Aj! nie ma jeszcze śniadania!



6. godz. Ha! pójdę na ranny spacerek

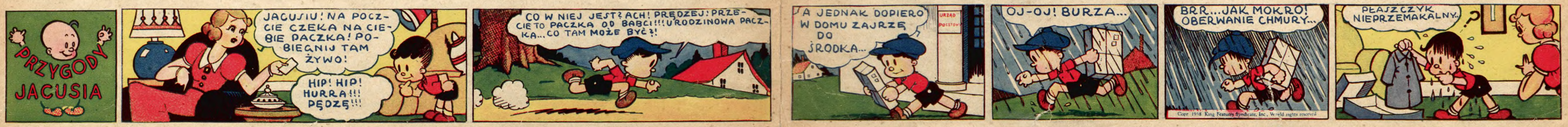


6. godz. 15 minut. Bęc! Co za szkaradny kamień na drodze!



8. godz. Kwoczka woła już z kuchni: — zaczekaj jeszcze... Bo wyjmuję z pieca babkę. Ach, jaka udana





Ms. „Wictoria” płonie!

NAPISAŁ · JANUSZ · MEISSNER



Adam Plichta opuszczał biuro dyrektora Gordona z uczuciem człowieka, któremu ziemia usuwa się spod nóg. Próba, którą podjął, zawiodła zupełnie.

— Pan się nie nadaje na reportera aktualności filmowych — powiedział dyrektor Zjednoczonych Towarzystw Kinematograficznych. — Moglibyśmy korzystać nadal z pańskich usług jako pilota przy nakręcaniu katastrof lotniczych — może w następnym sezonie zrealizujemy jaki film tego rodzaju; wszystko, co pan w tym zakresie dla nas zrobił, jest bez konkurencji. Ale te filmy, które pan sam nakręcił jako reporter... Nie, to jest przeważnie mało ciekawe.

— Nawet wybuch w fabryce chemicznej? — zapytał Plichta.

Gordon skrzywił się.

— Ach ta historyjka w Reno? Hm. No nie: to nie jest złe. Miał pan szczęście i dużo zimnej krwi. Te zdjęcia są dobre. Nawet bardzo dobre. Ale pan je nam dostarcza w tydzień po katastrofie. To już nie jest aktualność. Zanim zrobimy kopie, zmontujemy je, wyślemy — minie dwa dni. Zanim film wejdzie na ekrany, minie dwa tygodnie od wypadku. Do tego czasu publiczność zapomni o wybuchu w Reno.

Dyrektor zgasił niedopałek cygara w zagłębieniu szklanej popielniczki i wstał.

— Bardzo żałuję, panie Plichta...

Plichta ukłonił się i wyszedł.

— Co ja teraz zrobię? — myślał idąc w stronę hotelu.

Z początku w Hollywood powodziło mu się dobrze. Został zaangażowany jako pilot specjalista od katastrof lotniczych. Płacono mu po 200 dolarów za rozbicie samolotu przed obiektywami aparatów filmowych. Potem, kiedy moda na filmy lotnicze osiągnęła swój punkt szczytowy, wpadł na pomysł kupowania starych, wycofanych z ruchu samolotów i dostarczał je do zdjęć wytwórniom filmowym, biorąc nadal udział w niebezpiecznej akcji w charakterze zastępcy »bohaterskich« lotników-aktorów, którzy nie umieli wcale latać.

W ten sposób rozbił na dachach szop, między drzewami i na polach koło trzydziestu maszyn. Miliony widzów podziwiały jego odwagę, przypisując ją coraz to innym »gwiazdom« amerykańskiej kinematografii. On sam znany był tylko reżyserom i dyrektorom wytwórni. Publiczność nie widziała nigdy jego twarzy na ekranie.

Gdy zapytano go, czy nie obawia się połamać kości w jednej ze swych katastrof, odpowiadał:

— Dopóki rozbijam samoloty dla zdjęć filmowych, nic mi się nie stanie.

Wierzył, że tak będzie istotnie.

Wkrótce zorganizował niewielkie przedsiębiorstwo, jedyne w swoim rodzaju: Biuro Filmowych Wypadków Lotniczych. Wydzierżawił połowę hangaru na lotnisku, gdzie pracowali jego mechanicy; wynajął skromny lokal biurowy; założył telefon; kupił samochód.

Ale moda na filmy lotnicze — jak każda moda — skończyła się wreszcie. Nakręcano ich coraz mniej i Adam Plichta w niespełna rok po założeniu swego biura musiał je zwinąć, ponieważ przestało się opłacać. Wtedy przystąpił do spółki z Bobem Mahonem.

Mahon, popularnie zwany Migawką, był to dwudziestoletni młodzieniec odznaczający się niewzruszonym spokojem i drewnianą, nieruchomą twarzą. Prócz tych znamiennych cech posiadał własny aparat do zdjęć filmowych i przy jego pomocy postanowił zrobić majątek.

Plichta poznał go przypadkiem w jakimś atelier filmowym i zawarł z nim spółkę, pociągnięty niewytłumaczoną sympatią do tego dziwnego człowieka. We dwóch zaczęli pracować jako kino-reporterzy, na własną rękę filmując aktualne zdarzenia i wypadki. I oto pierwsze ich zdjęcia zostały odrzucone przez dyrektora Zjednoczonych, jako spóźnione i nieciekawe. A ileż wysiłków i pieniędzy włożyli w ich zdobycie!

Wybuch fabryki chemicznej w Reno... Wyścigi samochodowe w Detroit... Odsłonięcie jakiegoś pomnika w Chicago... Konkurs tańca w San Francisco... Wykolejenie się pociągu...

Przejazdy, hotele, taśma filmowa, różne opłaty, napiwki. Tydzień zmarnowanego czasu, nieprzespane noce i — zawiedzione nadzieje.

— W dzisiejszych czasach reporter filmowy musi posługiwać się samolotem, jeśli chce zdążyć na czas — powiedział dyrektor Gordon. — Niech pan kupi samolot.

Plichta przypomniał sobie teraz te słowa i uśmiechnął się z goryczą: pozostało im zaledwie kilkadziesiąt dolarów.

Migawka czekał na niego w hallu hotelowym.

— No i co? — zapytał ze zwykłym spokojem.

— Klapa — odrzekł krótko Plichta.

— Co powiedział Gordon?

— Żebyśmy sobie kupili samolot. Wtedy będziemy mogli dostarczać zdjęcia na czas.

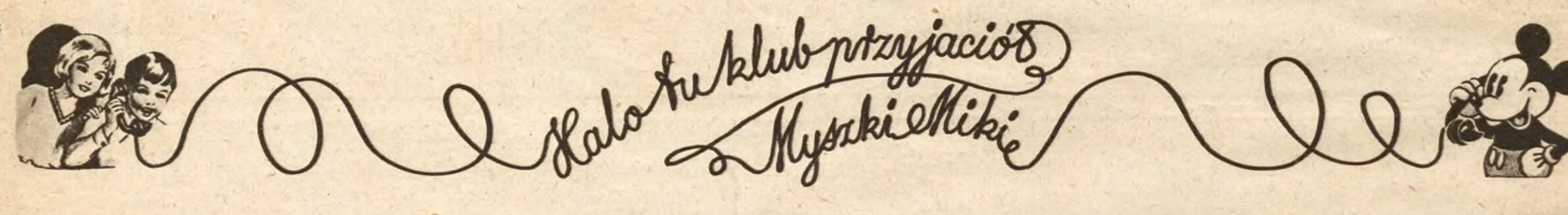
— O ile wiem — powiedział wolno Migawka patrząc melancholijnie na sufit — o ile wiem, masz jakiś samolot...

Adama poderwało.

— Mam, do stu diabłów! — krzyknął. — Mam starego sześcioosobowego grata z podłamanym podwoziem i zużytym silnikiem. Ale to jest szmelc, rozumiesz? Zapłaciłem za niego 95 dolarów. Nigdy w życiu nie otrzymam ich z powrotem inaczej, niż rozbijając tę skrzynię przy pierwszym lądowaniu w jakimś lotniczym filmie. Nam jest potrzebna mała, nowa, szybka maszyna, nie grzmot na sześć osób, który ma szybkość 180 kilometrów i żre na godzinę po 120 litrów benzyny.

Migawka nie odpowiedział, ponieważ w tej samej chwili odezwał się głośnik radiowy, a to co mówił speaker było bardzo ciekawe dla reportera filmowego. Tak ciekawe, że flegmatyczny Bob Mahon, nie panując tym razem nad sobą z całej siły uszczypnął w ramię swego wspólnika.

(d. c. n.)



Stalowy olbrzym



Tak wyglądają same tylko podpory wielkiego mostu w Kolumbii (Stany Zjednoczone Ameryki Północnej). Po tym moście musi przeprawiać się materiał do budowy olbrzymiego kanału.

HALO! HALO! Tak, to ja, Myszka Miki! Dobrze mnie słyszycie? Kto nie ma prawdziwego telefonu niech się wcale nie martwi, bo i tak się słyszymy! W trzaskaniu ognia w piecu, w gwizdaniu wiatru w kominie. Poznajecie mój głos? Mój telefon działa, jak widzicie, także bez drutu. Mam teraz strasznie dużo pilnych spraw do Was, Kochani przyjaciele! Więc słuchajcie:

Na pierwszej stronie naszej „Gazetki“ widzicie mnie z całą rodzinką przy pracy. Bardzo nam to trudno idzie, bo jeszcze nie wiemy, co się Wam najwięcej będzie podobało w historyjkach, które wymyślamy. Dowiemy się dopiero po pierwszym numerze, jak nam to sami napiszecie. Tylko prędko piszcie pod takim adresem: Redakcja „Gazetki Miki“ w Warszawie, przy ulicy Jasnej nr 18-20 m. 17.

Na drugiej stronie, na samym dole znajdziecie mój list, w którym proszę Was o rysunki. Jeszcze jeden malutki liścik schował się pod zagadkami. Widzicie, jak się spracowałem, ja, mała Myszka. Trzy listy w jednym numerze. Teraz bardzo czekam na jeden chociaż liścik od każdego z Was do mnie. Nie tylko ja, ale wszyscy moi krewni i przyjaciele (właśnie ci z pierwszej strony). Liszka Wszędobylska zapewnia mnie właśnie, że listów będzie tyle, że pan listonosz będzie je musiał wózkiem przywozić. Kaczorek-Zadziorek kwacze, żeby prędko założyć taki klub naszych przyjaciół. Teraz się robi taki wrzask, że sam już nic nie słyszę! Halo! Halo! Tak! Piszcie o wszystkim! Tylko prędko! Czekamy!

A co tam macie smacznego?

— Jacusiu! Może mnie jednak poczęstujesz jaką smaczną rybką? — tak pewnie myśli sobie ta foka na obrazku.

Zwierzęta w ogrodzie zoologicznym przepadają za dziećmi i to z pełną wzajemnością. Wiadomo, że dzieci nie potrafią oprzeć się ich prośbom o przysmaki. Toteż przy niedzieli słychać w całym ogrodzie:

— Mamo, mamo! Kup mi marchewkę dla słonia!

— Babciu! Kup mi bułeczkę dla burego Misia! Patrz jak ślicznie służy!



Nawet hipopotam nie na próżno rozdziawił olbrzymią paszczę. Śmiga już w powietrzu cały pęczek smacznej brukwi.

GUSTAW MORCINEK

Za Olzą

W czeskiej szkole



Karel Bohač dowiedział się dopiero w kopalni, że jest naprawdę Polakiem.

Przedtem nikt mu tego nie mówił. Ani w szkole, ani w domu. W domu była troska o chleb i lęk przed bezrobociem, w szkole zaś był obraz prezydenta Masaryka w złoconych ramach na ścianie i pan nauczyciel Švestka spod Pragi, a który za chlebem przywędrował na Śląsk za Olzą.

W szkole byli wszyscy Czechami. Pierwszym Czechem był prezydent Masaryk w złoconych ramach, drugim Czechem był pan nauczyciel Bedřich Švestka, trzecim Czechem był stróż szkolny, kulawy i ślepy na lewe oko Vaclav Jeřabek, a potem Czechami byli wszyscy chłopcy w klasie piątej w »obecni škole prezydenta Edvarda Beneša« w Karwinie na Granicach.

Prezydent Masaryk patrzył bokiem ze złoconych ram na Karela Bohača. Na głowie duży czarny kapelusz z szerokim rondem, pod rondem piękne, zamyślone oczy i lekki uśmiech na ustach. Karel Bohač często spoglądał na obraz i wtedy zawsze mu się zdawało, że prezydent Masaryk patrzy w jego serce spod ciężkich powiek i raduje się bardzo. A czemu się raduje? Bo Karel Bohač nie nazywa się już Karol Bogacz jak jego ojciec. Zresztą ojciec też będzie się niezadługo nazywał Bohačem. To będzie kosztowało tylko 10 koron czeskich.

O tym patrzeniu prezydenta Masaryka w serce opowiadał zawsze pan nauczyciel Švestka. Chłopcy mówili po prostu: pan učitel Švestka. Pan Švestka często więc opowiadał swoim uczniom o prezydencie Masaryku. Uczył ich nawet pięknej piosenki, a która tak się zaczynała:

Pan taciček Masaryček,
To je dobry pan...

Była to dosyć miła piosenka, lecz Karel Bohač nie mógł się jej nigdy nauczyć. Zawsze pokręciły mu się w niej czeskie słowa, pokręciła mu się jej melodia, i gdy pan nauczyciel Švestka kazał mu ją śpiewać, Karel Bohač nie potrafił. Wtedy pan nauczyciel gniewał się bardzo, grzebał palcami w swej szczeciniastej czuprynie, poprawiał okulary na nosie i zaciskał mocno wąskie usta.

Wszyscy chłopcy umieli tę piosenkę, tylko Karel Bohač jej nie umiał. Trwało to dosyć długo, aż w końcu pan nauczyciel powiedział, że Karel Bohač jest trąba i że będzie kamienie tłukł przy drodze. A gdy i to nie poskutkowało orzekł pewnego razu, że Karel Bohač będzie woły poganiał we dworze u hrabiego Larischa.

— »Wół« będzie woły poganiał! — krzyczał po czesku za stołem, a Karel Bohač truchlał przerażony. Potem pan nauczyciel prał trzciną po stole, a Karel Bohač jeszcze bardziej truchlał. W końcu prał trzciną po jego zgarbionych plecach, a wtedy chłopiec płakał i postanawiał wytłuc kiedyś wszystkie okna w mieszkaniu pana nauczyciela Švestki.

A gdy jeszcze pewnego razu Karel Bohač znowu nie umiał zaśpiewać piosenki o prezydencie Masaryku, pan nauczyciel Švestka nie mógł się już opanować. Przybiegł do chłopca i wymachując nad jego kudłatą głową zaciśniętymi pięściami, zawołał w największym oburzeniu:

— Ty hloupi Polaku!...

Koledzy Karela Bohača zaczęli się głośno śmiać, zaczęli klaskać i wołać:

— Bohač hloupi Polak!... Bohač hloupi Polak!...

Pragnęli w ten sposób przypodobać się panu nauczycielowi.

Karelowi Bohačowi było już tego za dużo. Zerwał się z ławy, zaperzył i krzyknął:

— Jo nie jest żoden hloupi Polak!...

Koledzy jego zaczęli jeszcze bardziej krzyczeć i zaśmiewać się hałaśliwie, a pan nauczyciel Švestka nic. Zamiast go uderzyć trzciną, jak to było jego zwyczajem, pogłaskał go po czuprynie i zapytał słodko:

— Więc toś ty nie Polak? A ktoś ty?...

— Ja sem Czech! — warknął chłopiec i spojrzał wyzywająco w jego oczy.

— A, to mi się podoba! — rzekł pan nauczyciel, pogłaskał go jeszcze raz po głowie i kazał usiąść. Potem wrócił za katedrę i zaczął mówić. Mówił bardzo długo. Twierdził, że Karel Bohač powiedział najmądrzejsze słowo w swym młodym życiu, że nareszcie przejrzał na oczy, że wszyscy Ślązacy są Czechami a nie Polakami, że tylko ciemni i zbałamuceni ludzie twierdzą inaczej i tak w kółko. Zapalał się coraz bardziej, stawał się podobny do księdza proboszcza na ambonie, kiedy wymyśla grzesznikom, rozrzucał szeroko ramionami, a potem zdjął okulary z nosa i wymachiwał nimi zapalczywie.

Na to tylko czekali chłopcy w klasie. Już i tak radowali się szczerze z kazania pana nauczyciela, bo wiedzieli, że znowu odpadnie jedna lekcja czeskiej gramatyki, że nikt nie będzie pytany z czeskich wierszy, że w ogóle będzie to najmilsza godzina w szarym żywocie szkolnym. Lecz wiedzieli, że czeka ich jeszcze jedna wielka radość, gdy niezadługo pan nauczyciel ciśnie gdzieś okularami, a po skończonej mowie będzie ich długo szukał. Nie znajdzie, bo bez okularów był zupełnie bezradnym krótkowidzem. A wtedy chłopcy najbardziej się radowali, widząc jego bezskuteczne poszukiwania.

— Gdzie są moje okulary? — pytał zakłopotany mrużąc śmiesznie oczy.

— Nie wiemy! — wołali chłopcy, chociaż wiedzieli, że leżą pod stołem lub pod tablicą. I pękali z tłumionego śmiechu. Jak długo ich bowiem szuka, tak długo nie ma nauki i egzaminowania z gramatyki lub wierszy. I dopiero gdy dzwonek zakrzyczał, podbiegał którykolwiek z chłopców i podawał mu je na dłoni.

(d. c. n.)

ZAGADKI · FIGLIKI · WYMYŚLIŁ · SAM · MIKI

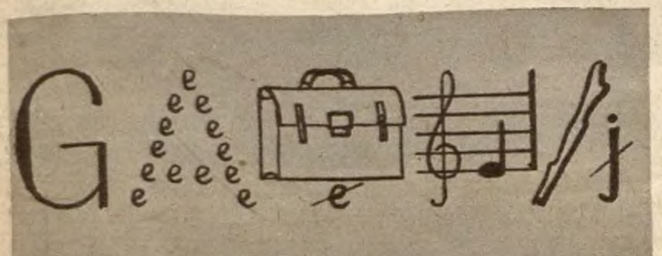
ZAGADKA 1

W kącie pod kominem
schowała czuprynę,
a jak wyjdzie z kąta —
mieszkanie posprząta.

SZARADA 1

Pierwsza — druga nie jest długa:
(dwie sylaby ma).
Lecz litery ma aż cztery
(dwa razy po dwa).
Za winy cię nie ominie,
[illegible] się nie bój, gdyś nie winien.
Pierwsza — trzecia smaczna, zdrowa,
byle mleka nie żałować.
Kiedy **trzecia z drugą** chodzi —
tworzą miasto koło Łodzi.
Druga — czwarta choć cię boli,
źle, gdy leczyć nie pozwolisz.
A kiedyś już **całą** zgadł —
możesz sobie jechać w świat.

REBUS



MĘCZYGŁÓWKA RYBACKA

W każdym z podanych zdań ukryta jest inna ryba. Kto je wyłowi?

Rosną smreki na zboczu góry. Oto koń czystej krwi arabskiej. Wlazł na płot Kazik, a za nim Janek. Doniośle dźwięczy dzwon. Opuściwszy głowę gorzko płakał winowajca. W dali, zza raf ląd raptem wynurzył się z mgły. Powalałeś całe ramię tuszem. A cóż to za maszkara ślepia wytrzeszcza?

ZAGADKA 2

Pachnie — nie kwiat.
Lepi się — nie lep.
Pali się — nie drzewo.

ZAGADKA 3

Jedna lampa się zapala,
kiedy druga gaśnie.
Srebrna lampa świeci z dala,
złota lampa świeci z dala —
złota świeci jaśniej.

ZAGADKA 4

W jednym rzędzie
ostre zęby
gryzą sosny,
gryzą dęby.

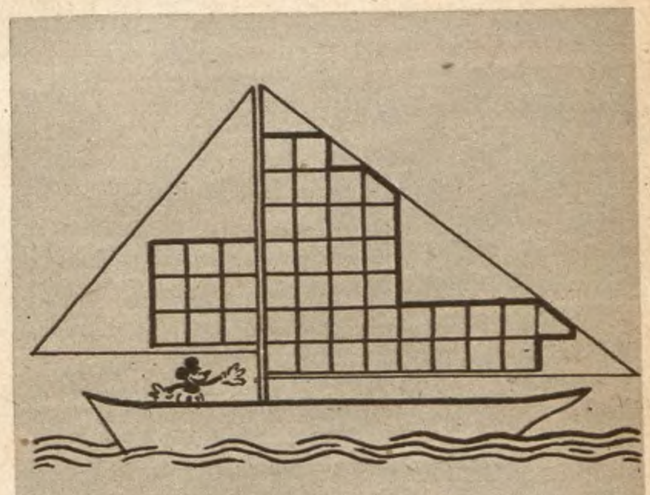
Kochane dzieci!

W następnym numerze znajdziecie rozwiązania tych szarad i zagadek. Lecz bardzo się ucieszę, jeśli sami to zrobicie i jeszcze wcześniej przyślecie własne rozwiązania do naszej redakcji.

Wasz Miki.

PODRÓŻ MIKI

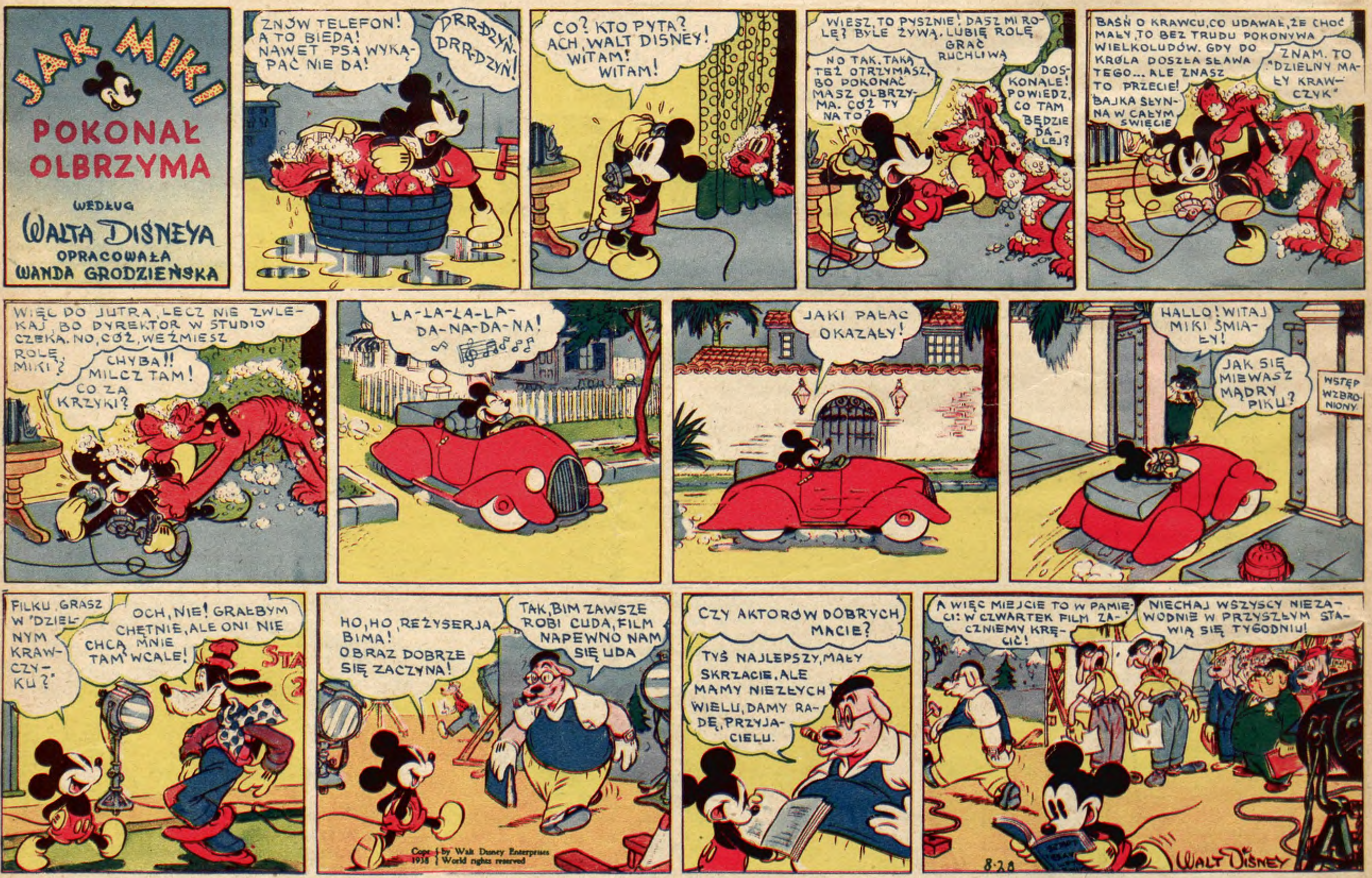
Miki wybrał się w świat na łodzi żaglowej. Jeździł tylko po rzekach. Nazwy rzek wyszywał sobie na żaglach swej łodzi. Z pierwszych liter tych nazw odczytać można nazwę znanego statku szkolnego polskiej marynarki.



Na małym żaglu wyszył Miki nazwy trzech rzek: 1 — płynącej na południu Rosji, 2 — w Szwajcarii, 3 — na granicy Francji i Niemiec.

Na dużym żaglu są rzeki następujące: 1 — główna rzeka Włoch, 2 — rzeka na Śląsku Cieszyńskim, 3 — duży dopływ Renu we Francji i Belgii, 4 — rzeka graniczna na Śląsku, 5 — dopływ Wisły w woj. krakowskim, 6 — dopływ Dniestru w woj. lwowskim (dwa wyrazy), 7 — największa rzeka Ameryki Południowej.





Wydawca: Wydawnictwo »Gazetka Miki« — Sp. z o. o.
Redaktor odpowiedzialny: Aleksandra Bończa-Waśniewska.
Redakcja i administracja: Warszawa, Jasna 18/20 m. 17. Tel. 529-64. Konto P. K. O.: 3666.
Redakcja czynna codziennie od g. 12—13. Administracja czynna od 10—19.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 1·50 zł wraz z przesyłką, cena pojed. numeru 40 gr. — Do nabycia w księgarniach i w kioskach »Ruchu«. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.